

– To musi być system spójny. Jestem zwolennikiem modelu, w którym nie robi się tytułu profesorskiego w instytutach badawczych, tylko w uniwersytetach. Tak jest na przykład w Niemczech. Zdecydowanie też szerzej pracownicy tych instytutów powinni uczestniczyć w dydaktyce.

Czy nie sądzi Pan, że opór wśród profesury wobec zniesienia habilitacji będzie duży?

– Środowisko powoli dojrzewa do tego, że potrzebne są zmiany. Także ze względu na poszerzający się zakres współpracy międzynarodowej i rozwiązania obowiązujące za granicą.

Oficjalny obraz środowiska akademickiego w rozmowie z profesorem, nie mówiąc o rektorze, jest z reguły dość pozytywny. Jeśli natomiast uczele, porównując się z pracownikami uczele, przeczyta krytyczne artykuły czy wywody na różnych forach internetowych, to stan nie jest już tak idealny. Są też dziedziny – na przykład medycyna czy prawo – gdzie panują stosunki hierarchiczne lub po prostu feudalne: wszyscy pracują na profesora, łącznie z udostępnianiem dorobku i dopisywaniem do prac jego nazwiska. To on, a nie rzeczywiste zdolności czy osiągnięcia, decydują o porządkach i awansach w klinice, katedrze czy instytucji. Albo inne dziedziny, jak choćby psychologia, gdzie wąska grupa utytułowanych blokuje awans innym i zatwierdza wyłącznie „swoich”, niezależnie od dorobku.

– To, niestety, prawda i znaczna część profesorów także ma tego świadomość. Stąd konieczność i coraz szersza akceptacja zmian, choć nie jest to łatwe. Nie udało mi się na przykład, jako rektora, wyrugować z UJ zjawiska dopisywania się do prac w naukach medycznych czy eksperymentalnych. Padły argumenty o nadzorze, pomysłach i inspiracji, czy w ostateczności takie, że w Stanach Zjednoczonych bądź Niemczech profesorowie postępują tak samo. Chodzi po prostu o ilość cytowań, a nie rzetelny, własny dorobek. Nie wystarczy tu nawet kodeks etyczny, bo taki w UJ mamy. Potrzebne są nowe mechanizmy.

Czyli wracamy do wniosku, że konieczne są nowe, czytelne reguły awansu naukowego.

– To byłoby nasze wielkie zwycięstwo, gdyby udało się wprowadzić czyste reguły awansu naukowego. I oddać go w ręce specjalistów w danej dziedzinie. Mam świadomość, że zmiany reguł, które obowiązywały przez całe dziesięciolecie, nie są łatwe. Ale chcemy je zainicjować. Dlatego potrzebna jest dyskusja i wyciągnięcie z niej wniosków.

Rozmawiał ANDRZEJ ŚWIC

Polskie rozwiązania prawne dotyczące szkolnictwa wyższego i nauki uniemożliwiają Polsce zmierzenie się z czołową dwudziestką państw uczestniczących w światowej konkurencji gospodarczej.

DYSKUSJA O ZAGROŻENIACH

Krzysztof Pawłowski

Polskie szkolnictwo wyższe wchodzi w krótki okres względnego spokoju, „małej stabilizacji”. Wchodzi powoli w życie przepisy wprowadzające nową ustawę, która zapewne na wiele lat wyznaczy ramy zmian dla szkół wyższych. Spadek liczby kandydatów na studia jest jeszcze mało zauważalny i wciąż „wystarcza” studentów dla niemal wszystkich typów szkół wyższych, aby pokryć koszty ich funkcjonowania. Uczele państwowe są świeżo po wyborach rektorskich, nowe władze Ministerstwa Edukacji i Nauki wydają się być przewidywalne, a władze państwowe, poprzez stypendia ze środków publicznych dla studentów uczele niepaństwowych, doprowadziły do częściowego obniżenia opłat za studia w uczelniach prywatnych. Wszystkiemu do skłaniać może założycieli niepublicznych szkół wyższych do odprężenia i wzięcia głębszego oddechu, może nawet wybrania się na długi urlop po piekło ostatnich pięciu, dziesięciu czy piętnastu lat nieustannej pracy, stresu, niepewności.

Mam jednak przeczucie, że lato i dobrze już było, że piekło dopiero nadchodzi i to dla wszystkich zaangażowanych w szeroko rozumiany obszar szkolnictwa wyższego i nauki, nie tylko w uczelni prywatne.

Po pierwsze, toczy się walc globalizacji, a zarazem coraz intensywniejszej konkurencji wewnątrz Unii Europejskiej. Coraz częściej do bardziej światłych polityków odpowiedzialnych za przyszłość państwa polskiego docierać będzie świadomość, że warunkiem koniecznym uczestnictwa w konkurencji światowej jest wysoka jakość kadr oraz badań naukowych i ich zastosowania w gospodarce. I zapewne znajdzie się grupa polityków myślących poważnie o tworzeniu dla Polski przewagi konkurencyjnej (wciąż w to wierzę), która rozumie, że nie wystarczy dosypać pieniędzy do budżetu szkolnictwa wyż-

szego i nauki, nawet zwiększyć środki trzykrotnie, tylko trzeba uruchomić mechanizmy rozwojowe, a wcześniej usunąć wszystkie bariery tkwiące obecnie w systemie.

Po drugie, Polska jest na początku procesu negatywnych zmian demograficznych. Liczba 19-latków dopiero zaczyna się zmniejszać i prawdziwy spadek liczby kandydatów na studia nastąpi w okolicach 2010 roku, a więc już „jutro”, bo trudno oczekiwać, żeby wszystkie bariery tkwiące obecnie w systemie.

Po drugie, Polska jest na początku procesu negatywnych zmian demograficznych. Liczba 19-latków dopiero zaczyna się zmniejszać i prawdziwy spadek liczby kandydatów na studia nastąpi w okolicach 2010 roku, a więc już „jutro”, bo trudno oczekiwać, żeby wszystkie bariery tkwiące obecnie w systemie.

Po trzecie, rynek badań, ekspertyz stał się już międzynarodowy i polski przedsiębiorca poszukujący nowości, konkretnych innowacji, pomocy we wprowadzeniu własnych pomysłów, jeżeli nie znajdzie partnera w najbliższej uczelni, i to partnera w pełni profesjonalnego, to poszuka odpowiednich instytucji i ludzi gdzie indziej.

PODWÓJNE OKULARY

Zasadniczą tezę artykułu jest stwierdzenie, że polskie rozwiązania prawne dotyczące szkolnictwa wyższego i nauki uniemożliwiają Polsce zmierzenie się z czołową dwudziestką państw uczestniczących w światowej konkurencji gospodarczej. Dystans pomiędzy nauką polską i jej osiągnięciami a światowym poziomem odniesienia będzie wzrastał i tylko w części jest to problem braku pieniędzy czy mentalności polityków. Prawdziwy problem tkwi w mentalności zasadniczej części środowiska akademickiego (traktując je całościowo jako środowisko uczelni i instytucji nauko-

wych oraz badawczych), w swoistym konserwatyźmie i samozadowoleniu.

Jestem byłym politykiem, z oczywistych więc powodów patrzę na sytuację w szkolnictwie wyższym i nauce poprzez „dwie pary okularów”. Według mnie jedną z przyczyn obecnego stanu rzeczy jest fakt, że politycy oddali całkowicie decyzje dotyczące przyszłości szkolnictwa wyższego i nauki w ręce samego środowiska, a tak naprawdę – korporacji profesorskiej. Tak było politykom wygodnie – bo po co narażać się tak wpływowemu środowisku. Jednak nadrzędną sprawą powinien być interes państwa i społeczeństwa, a nie środowiska akademickiego.

Dobrym przykładem tego był sposób procedowania podczas uchwalania ustawy o szkolnictwie wyższym, kiedy zarówno ministerstwo, jak i posłowie, praktycznie nie wnieśli żadnych istotnych zmian do projektu opracowanego przez zespół prezydencki, złożony z samych przedstawicieli środowiska akademickiego. Nie krytykują nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, porządkują one wiele spraw dotyczących szkolnictwa wyższego, ale nie wnoszą istotnie nowych rozwiązań, których celem byłoby zwiększenie konkurencyjności państwa czy wzmocnienie jego tendencji rozwojowych. A wszyscy futurologi powtarzają to samo – o przyszłości świata zdecyduje gospodarka oparta na wiedzy, a kluczem jest wykształcenie społeczeństwa, rozwój badań i innowacji.

BARIERA ODPLATNOŚCI

Najważniejszą sprawą jest usunięcie barier w rozwoju systemu szkolnictwa wyższego i sektora badań naukowych. Chciałbym ograniczyć się do trzech najważniejszych: strachu środowiska akademickiego przed wprowadzeniem do systemu zjawiska konkurencji, zbyt długiej ścieżki kariery akademickiej i złego sposobu kształcenia nauczycieli. Bez równoczesnego ich usunięcia system nie ruszy do przodu, niezależnie od ilości środków budżetowych przeznaczonych na jego finansowanie.

Podstawowym problemem jest przywiązanie środowiska do rozwiązań tradycyjnych, związanych z szeroko interpretacją autonomii uczelni publicznych, oczekiwania na pełne finansowanie z budżetu państwa funkcjonowania uczelni i instytucji naukowych oraz obrona formuły studiów nieodpłatnych w uczelniach publicznych. Strach przed wprowadzeniem zasad konkurencji do systemu, pokry-



Fot. Stefan Ciechaciński

wany jest uczonymi wywodami, że konkurencja zniszczy system, spowoduje wielkie straty i że nie można przetranszować brutalnych zasad rynkowych do tak wzniosłego obszaru, jak kształcenie i badania naukowe.

Zasadniczą sprawą jest wprowadzenie częściowej odpłatności za studia stacjonarne w uczelniach publicznych. Rzeczywistość, jaskrawo ujawniona po otwarciu dla Polaków rynków pracy w niektórych państwach Unii Europejskiej, wskazuje wręcz na absurdalność utrzymania studiów bezpłatnych – obywatela jednego z najbiedniejszych państw Unii poprzez podatki finansują kształcenie lekarzy czy architektów dla najbogatszych państw UE: Irlandii, Wielkiej Brytanii czy Szwecji. Poza tym, obecny system ograniczonej liczby miejsc na nieodpłatnych studiach w uczelniach publicznych powoduje, że części nie stają się na te studia kandydaci z rodzin zamożniejszych, ze średnich i dużych miast, kończących dobre licea. Obecny system uniemożliwia zatem jedną z podstawowych zasad UE – demokratyczny dostęp do wykształcenia wyższego.

System studiów nieodpłatnych jest oczywiście bardzo wygodny dla uczelni publicznych, bo daje im wielką przewagę rekrutacyjną nad uczelniami niepublicznymi (nie jakościową, tylko cenową). Ale wygoda dla instytucji publicznych nie musi przekładać się na interes państwa i jego obywateli. I nie przekłada się.

W swojej książce *Spoteczeństwo wiedzy – szansa dla Polski*, omawianej swego czasu w „Forum Akademickim” (nr 12/2004), przedstawiłem projekt systemu bardziej racjonalnego i za-

pewnością rzeczywisty demokratyczny dostęp do wyższego wykształcenia. Ten projekt polega na sfinansowaniu pierwszego roku studiów wszystkim podejmującym naukę w uczelniach, niezależnie od formy i trybu studiowania (także w uczelniach niepublicznych) oraz na wprowadzeniu odpłatności za studia w uczelniach publicznych od drugiego roku studiów. Odpłatność taka miałaby być wsparta przez bon edukacyjny (algorytm) dla studentów na studiach stacjonarnych (jako preferowanej przez państwo formie studiów) w wysokości 3 tysięcy złotych za rok, a także rozwinięty system stypendiów socjalnych za dobre wyniki w nauce, który pracowitemu studentowi pozwolił studiować bez zapłacenia choćby złotówki czesnego. Oczywiście, państwo nadal pokrywałoby koszty funkcjonowania i inwestycji tylko w uczelniach publicznych, ale nowe warunki pozwalałyby konkurować wszystkim uczelniom o kandydatów na studia jakością oferty programowej i sposobem jej realizacji.

Zakładając, że za około 10 lat liczba studentów w Polsce spadnie do 1-1,2 miliona osób, a PKB przez kolejne 10 lat wzrośnie o 4 procent rocznie, oszacowana kwota 7,4 miliarda złotych rocznie oznaczałaby mniejsze obciążenie dla budżetu niż kwota obecnie przeznaczana wyłącznie na sfinansowanie studiów w uczelniach publicznych. To zastanawiające, że uczelnie publiczne obawiają się wprowadzenia odpłatności i bonu edukacyjnego. Moim zdaniem, na nowym systemie najbardziej zyskałyby największe i najlepsze uczelnie publiczne, które mają spore rezerwy kadrowe umożliwiające znaczne

zwiększenie liczby miejsc na studiach stacjonarnych i które zrealizowały duże inwestycje podnoszące komfort studiowania, a najbardziej straciliby słabe i średnie uczelnie niepubliczne.

Wprowadzenie efektywnych metod zarządzania do uczelni publicznych nie może ograniczyć się wyłącznie do zmian w systemie finansowania studiów. Trzeba by zmienić definicję autonomii akademickiej, powinny wyraźnie wzrosnąć uprawnienia organów jednoosobowych (rektorów, dziekanów, dyrektorów instytutów naukowych) kosztem organów kolegialnych. Warto dla przykładu przytoczyć jedno z obecnych rozwiązań ustawowych, ewidentnie utrudniających zmiany w uczelniach.

Nowa ustawa, tak jak poprzednia, daje wyłącznie uprawnienia do wprowadzania nowych kierunków studiów oraz decydowania o planie studiów, programach nauczania ciałom kolegialnym, także w uczelniach niepublicznych. A jest sprawą oczywista, że każde wybieralne ciało kolegialne jest emanacją wydziałowych lub uczelnianych grup interesów. Takie grupy mogą być zainteresowane utrzymaniem konkretnych, realizowanych głównie przez swych członków programów studiów, nawet gdyby nie było to w interesie danego wydziału lub uczelni. Z drugiej strony, wprowadzenie nowych, nawet najbardziej atrakcyjnych kierunków studiów lub zmian w programach może być kontestowane przez większość rady wydziału lub senatu i rektorzy lub dziekani mogą być bezradni. Ograniczenie opisanych powyżej uprawnień wyłącznie do decyzji ciała kolegialnych jest wyraźnym błędem, obniżającym zdolność do zmiany i konkurencyjność o miano najlepszych.

CIERNISTA DROGA AWANSU

Istotnym czynnikiem osłabiającym niewątpliwie polskie szkolnictwo wyższe i sektor instytucji naukowych jest zbyt długa ścieżka kariery akademickiej. Ponieważ do usamodzielnienia się młodego kandydata na uczonego (w znaczeniu pozytywnym, tzn. decydowania o przedmiocie badań i dysponowania środkami finansowymi na nie) potrzeba co najmniej od 12 do 15 lat, to wielu najbardziej uzdolnionych ludzi rezygnuje z uprawiania nauki bądź wyjeżdża do uczelni zagranicznych, głównie amerykańskich. Uważam, że potrzebna jest restrykcyjna zmiana – rezygnacja z dwóch etapów kariery naukowej, to jest habilitacji i państwowego tytułu profesora, przy równoczesnym dra-

stycznym zaostrzeniu kryteriów uzyskiwania stopnia doktora oraz zwiększeniu rangi stanowiska profesora uczelnianego. Każda propozycja zlikwidowania stopnia doktora habilitowanego jest traktowana jako wyraz frustracji doktorów, którzy byli lub są zbyt słabi pod względem naukowym, aby zdobyć habilitację. Członkowie „korporacji profesorskiej” uważają, że habilitacja jest barierą chroniącą polską naukę przed bylejąkością, ale można przytoczyć setne przykłady, że zarówno stopnie, jak i tytuły, nie zabezpieczają nauki przed niską jakością.

Zaostrzenie kryteriów uzyskiwania stopnia doktora powinno zacząć się od przyjęcia zasady, że doktorant broni swojej pracy nie przed macierzystą radą wydziału lub radą naukową instytutu, tylko przed obcą radą, wylosowaną z listy instytucji, które mają w danej dziedzinie uprawnienia do nadawania stopnia doktora. Można rozważyć sprawę upublicznienia recenzji czy też obowiązek powoływania recenzenta zagranicznego (język angielski stał się i tak podstawowym językiem komunikowania w nauce). Bardzo ważnym elementem nowego systemu musi być przejrzystość procedur – między innymi określenie minimalnego dorobku naukowego, pozwalającego otworzyć przewód doktorski, sposób wyboru recenzentów, wreszcie sposób wyboru rady, przed którą broni się pracy. W nowym systemie niezbędne byłyby przejrzyste mechanizmy wychwytywania błędnych decyzji czy obniżania jakości prac doktorskich. Dla przykładu: rada jednolitej stopnia odrzucono by w procedurze kontrolnej Centralnej Komisji, traciłaby uprawnienia do nadawania stopnia doktora na okres kilku lat.

Rezygnacja z habilitacji i tytułu profesora wymagałaby wielu zmian w ustawach i rozporządzeniach, ale jeśli wskutek wprowadzenia nowych rozwiązań w polskich uczelniach, zatrudnienie znaleźliby najzdolniejsi i doszłoby do odmłodzenia kadry naukowej, to efektem zmian po dziesięciu latach byłby wzrost poziomu prac naukowych i mierzalne efekty wprowadzenia innowacji w gospodarce.

Przy okazji zmian systemowych konieczne jest rozwiązanie problemu właściwej formy kształcenia nauczycieli w Polsce przez wyspecjalizowane uczelnie. Obecny system nie zapewnia wykształcenia wysokiej jakości nauczycieli. W dużej mierze mamy w Polsce do czynienia z negatywnym dobozem kadry, nie tylko z uwagi na niskie płace nauczycieli. Zdaniem

autora, właściwym rozwiązaniem byłoby włączenie lepszych uczelni pedagogicznych do najbliższych uniwersytetów (aby uzyskać synergię zasobów) oraz zlikwidowanie najsłabszych. Nie powinno się też kontynuować kształcenia nauczycieli na studiach zawodowych, a już niedopuszczalna jest forma kształcenia nauczycieli na studiach zaocznych. Do zawodu nauczycielskiego powinni iść najlepsi absolwenci studiów uniwersyteckich, a obecna sytuacja – niż demograficzny oraz wzrost bezrobocia wśród absolwentów studiów wyższych – ułatwia dobór możliwie dobrych kandydatów do zawodu nauczyciela. Istotnym elementem kształcenia nauczycieli powinien być obowiązkowy system studiów podyplomowych, powtarzanych co sześć-osiem lat, służących odnowieniu i odświeżaniu wiedzy zawodowej, a zarazem podnoszących kompetencje i umiejętności.

KULTURA DYSKUSJI

Analitycy Ministerstwa Edukacji i Nauki powinni dogłębnie przemyśleć model fiński. Co takiego jest w rozwiązaniach systemowych szkoły fińskiej, że fińscy piętnastolatki w badaniach kompetencji prowadzonych przez OECD plasują się na samym szczycie listy? Finlandia lokuje się także w czołówce państw, w których stworzono najlepsze warunki do konkurencyjności w gospodarce (wolności gospodarczej). Jestem głęboko przekonany, że bez zmian w sposobie kształcenia i doboru nauczycieli nie uzyskamy tego, co najważniejsze – aktywnego społeczeństwa wiedzy, bez którego nie da się konkurować z najlepszymi i uzyskać efektu w postaci miejsca Polski na liście najbardziej rozwiniętych państw świata i najzamożniejszych społeczeństw.

Jedną z naszych słabości jest brak kultury dyskusji publicznej, polemik skierowanych przeciwko komuś, lecz dyskusji na rzecz znalezienia rozwiązań lepszych. Mam nadzieję, że ten artykuł tak zostanie odczytany. Z punktu widzenia założyciela i rektora szkoły wyższej, która zdobyła markę, ale jej obecna pozycja wciąż założyciela nie satysfakcjonuje, byłoby lepiej, gdyby otoczenie uczelni było słabe i mało mobilne, bo wtedy byłoby łatwiej osiągać zamierzone cele i pozycję. Ale bardziej interesuje mnie to, w jakiej Polsce będzie żył mój wnuk i dzieci moich absolwentów.

Dr Krzysztof Pawłowski jest rektorem Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu.